Zajączki Pierwsze, 1883 r.

Trzy wiosny minęły od śmierci mej siostrzyczki,

Gdy to zamknęły się za nią od pieca drzwiczki.

Moja mama kolejny raz urodziła.

Byłem starszy i coraz to rzadziej mnie biła.

Moje wychowanie przejęła teraz szkoła,

Która chciała wykształcić każdego matoła.

Nauczycielem tam był starszy ksiądz wikary,

Który lubił żyłą sprawiać uczniom koszmary.

I tak ubrani w mundurki w kolor chabrowy

Siedzieliśmy, a w przerwach doiliśmy krowy.

Nauczyciel uznał, że czas poznać alfabet.

Większość z nas nie wiedziała, co to znaczy nawet!

Wpierw zaczęliśmy głośno wymawiać litery.

Na pierwszej lekcji poznaliśmy ich aż cztery!

Na koniec tych zajęć głośno powtarzaliśmy

Oraz głośno siebie wzajemnie przekrzykiwaliśmy.

Ja odgadłem literkę „A” jako pierwszy,

Ale przekrzyczał mnie każdy z tych durnych leszczy.

W związku z tym krzyczałem literkę „B” najgłośniej.

Nauczyciel ocenił to niestety sprośnie:

„Ze szkoły robisz cielętnik?! Toś ty taki zuch?!

Dajcie go na rozgrzewkę. Dostanie kilka rózg.”

Najsilniejsi dwaj w klasie mnie chwycili

I przed oblicze księdza mnie przyprowadzili;

Oparli mnie o katedrę nauczyciela

I nim zorientowałem się o co w tym biega

Otrzymałem przez spodnie kilka silnych razów,

Które wymierzył mi jeden z tamtych chacharów.

Niczym zimna kąpiel na mnie to zadziałało.

Nie przypuszczałem, że aż tak będzie bolało.

Więcej się już zatem nie raczyłem odzywać.

Nie będę w tej szkole już więcej się wybijać.

Wracałem więc do domu zasmucony.

Nie nauczę się czytać i nie znajdę żony.

Poszedłem na pole pooglądać wiatraki.

Poprawiały mi humor bardziej niż przysmaki.

Bardzo mnie te konstrukcje interesowały,

Choć nie wiedziałem czemu one służyć miały.

Po drodze kolegę z mojej klasy spotkałem

I wraz z nim do wnętrza wiatraka się wybrałem.

Pierwszy raz odważyliśmy się wejść do środka.

Jurek, który odważny był już od zarodka,

Pobiegł chyżo po stromych schodach sam na górę.

Zacząłem przeczuwać, że dostaniemy burę.

Niepewnym krokiem zacząłem wchodzić po schodach.

Ukazały mi się mechanizmy na kołach.

Obserwowałem z zachwytem koła zębate.

Z okien widziałem łąki i pola pstrokate.

Nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk Jurka

I z góry zleciała na mnie jakaś barierka.

Jak najszybciej z pomocą koledze pobiegłem.

Wystraszyłem się śmiertelnie, gdy go znalazłem.

Okazało się, że Jurek zleciał z podestów

I jego nogę orał jeden z mechanizmów.

Krew wolno ściekała po ściance wiatraka.

Nie potrafiłem uwolnić tego chłopaka.

Postanowiłem, że szybko sprowadzę pomoc.

Nie przypuszczałem jeszcze, że dostanę łomot.

Wybiegłem z wiatraka w stronę domów pobliskich.

Niemal upadłem biegnąc po rynsztokach śliskich.

W końcu zacząłem krzyczeć na środku ulicy.

W stronę wiatraka pobiegli szybko rolnicy.

Wiatr się zerwał i przyspieszył jego obroty.

Pochowały się w stodołach miejscowe koty.

Burza z piorunami się nagle rozpętała

I wejść do wiatraka ustawa zabraniała.

Aż pojawi się dziedzic wsi więc czekaliśmy

I wrzasków Jurka z trwogą nasłuchiwaliśmy.

Co gorsza dziedzic wsi był ojcem nieszczęśnika.

W każdą sprawę ten jegomość surowo wnikał.

Dziedzic był ponoć bardzo okrutnym człowiekiem.

Palił żywcem bydło, gdy chorowało z wiekiem.

Wpierw, do obory ceglanej je przyprowadzał,

A potem ogień w komorze pod nią podkładał.

Słychać było wtedy ryczenie na całą wieś.

Będąc wrażliwym, ciężko było coś takiego znieść.

Jego postępowanie było bezsensowne.

Po jaką cholerę palić bydło spokojne?!

Nie liczyło się, że bydło strasznie cierpiało.

Pieczone żywcem mięso lepiej smakowało.

Musiał pozbywać się smrodu i zwłok zwęglonych;

A wszystko to na oczach dzieci zasmuconych.

Na szczęście lecz szanował zwierzęta domowe.

Dobrze się u niego miały psy kanapowe.

W końcu przybiegł rozgniewany i zatroskany

I wszedł do wiatraka, gdzie czekał Jurek ranny.

Wszedł także majster i mechanizm wyhamował.

Prowizoryczne nosze ktoś też skonstruował

Nagle piorun uderzył prosto w szczyt konstrukcji

Po żelaznych częściach spłynęły w dół ładunki.

Jurek zaczął nienaturalnie się wyginać

A wszystkie rzeczy wokół iskrzeć i się zgrzewać.

Buchnęły płomienie. Ekipa ratunkowa

Uciekła w dół czym prędzej jak spłoszona krowa.

Wszyscy tylko rozkładali bezradnie ręce.

Nie mogąc pomóc Jurkowi w tej strasznej męce.

Chłopak został wewnątrz wiatraka płonącego.

Przez kilka minut słychać było wycie jego.

W końcu konstrukcja zawaliła się pod siebie.

Myślałem wtedy, że mój kumpel jest już w niebie.

Ale wciąż było słychać jęczenie spod gruzów.

Odkopując, napotkaliśmy wiele trudów.

W końcu dostaliśmy się do ciała Jerzego.

Myślałem, że wyniosą kolegę martwego.

Jego ciało było strasznie zdeformowane.

Nogi nie było. Skóry zwisały oblazłe.

Ale on jeszcze żył. Cicho buczał pod nosem.

Śmierdział spalonym mięsem i oddanym moczem.

Pogorzelcę ostrożnie na nosze wsadzono.

I do znachora szybko przetransportowano.

Wraz ze skórą zerwano spalone ubranie.

Potem umieszczono oparzonego w wannie.

Zimną wodą i kwaśnym mlekiem polewano.

Kikut po prawej nodze ostrożnie związano.

Jurek zmarł po tygodniu, na gangrenę chyba.

Przez swe rany musiał złapać jakiegoś grzyba.

Jurek stracił życie w tym nieszczęsnym wypadku.

Za to ja otrzymałem sprawę w sądzie w spadku.

Zostałem całkiem bezpodstawnie oskarżony.

Kiedy zapadł wyrok, zasłabłem przestraszony.

Dziedzic oświadczył: „Potrzeba dać przykład grozy.

Toż to przez niego mój syn został uśmiercony.

Ten nieuk nakłonił do wejścia do wiatraka

Oraz uciekł, licząc że ominie go draka.

Uzgodniono karę razem z rodzicami,

A także, w jego szkole, z nauczycielami.

Oko za oko, ząb za ząb – w myśl tej zasady,

Młodzieniec zostanie przykuty do fasady.

Antoni, syn Mariana, otrzyma sto batów,

A później pozbawi go głowy jeden z katów.”

Nie zdołał wdrożyć wyroku dziedzic surowy,

Gdyż uciekłem ze wsi przepływając rowy.

Skazany został też wiatraka budowniczy.

Wiedziałem że dziedzic okrutnie go rozliczy.

Z ukrycia obserwowałem tę egzekucję.

Przez ten widok straciłem na miesiąc polucje.

Przyprowadzono najsilniejsze we wsi konie.

Przywiązano do nich budowniczego dłonie.

Jego nogi również przywiązane zostały.

Następnie spłoszyły konie głośne wystrzały.

Najpierw słychać było jak popękały kości,

A potem z mężczyzny wypłynęły wnętrzności.

Dziedzic kopnął je z nienawiści oszalały.

A ja miałem dosyć już tej nieszczęsnej sprawy.

Tydzień błąkałem się w lesie i głodowałem.

Myślałem, że już na zawsze tam zamieszkałem,

Ale na szczęście, w końcu, trafiłem do miasta.

Tam nauczono mnie piec i sprzedawać ciasta.

Miałem szczęście, że szlachcice mnie przygarnęli;

Wyżywić mnie oraz opłacić się zgodzili.

Skończyłem studia i interes rozkręciłem.

Mej rodzinie na wsi pieniądze wysyłałem.

Spytacie zapewne, czemu mnie nie szukano.

Na wsi liczyło się tylko to co zbierano.

Projektowałem maszyny, głównie wiatraki,

I to tak, aby nie wchodziły do nich tępaki.

Jaki więc będzie morał tejże opowieści?

Przyszłość czeka, jeśli zaścianek się opuści…

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zewediach, dodano 25.09.2018 20:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.